


Kto abiti Juszczyńskiego?



Kto zabił Juszczynskiego?

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAŃ
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 7
Tel. 26-68-63



Druk. S. Krakowskiego,
Warszawa, Królewska № 45.

Kto zabił Juszczyńskiego?...

Ech, ten Juszczyński i znów ten Juszczyński, zapewne już znudziły się wam nazwiska szanownych bohaterów tego procesu Czerebiakowie, Brauzele i inni, Bóg ich tam wie, jak się wabią. Zapewne już zdążyliście zapomnieć o ostatniej sprawie pochwał godnego hrabiego, gdy ja wam znów przypominam o Juszczyńskim. Ale, cóż robić? różne są charaktery na tym bożym świecie. Ja na przykład gorąco się tą sprawą zajmuję; nie jem, nie piję (bo nie mam co) i tylko myślę o tem, kto mógł zabić tego biednego Andriuszę? I oto teraz siedzę sobie w moim pokoiku na czwartaku; zimno, że aż ręce marzną i pióro wypada. Świeca (nie stearynowa bynajmniej) już ma się ku końcowi swego istnienia... Biedny jej los (właściwie mojej kieszeni), gdyż i nad nią rozpościera się to prawo, że wszystko co istnieje, zginąć musi... Żałośliwie spojrzała na mnie ta świeca, (która mnie całe dwa grosze kosztowała) i po kilku konwulsyjnych drgnieniach, skonała. Pograżony w ciemnościach, zacząłem rozmyślać: „Boże oświeć mię, któż to zabił tego nieszczęsnego chłopca? Czyż zawsze pozostanie to dla nas niezgłębioną tajemnicą? Nie, będę się modlił, może Bóg wysłucha moje gorące prośby“.

Wtym z ogromnym hałasem wpada dobry mój kolega, bez czapki, z włosami rozezochronemi (ale, co mówię, przecież on zupełnie łyсы), krzycząc

w niebogłosy „Już wiem, nareszcie udało mi się dowiedzieć—„Co, co, mów prędzej, co ci się udało dowiedzieć“?— „Kto zabił Juszczyńskiego — dokończył przyjaciel i rzuciwszy się na moje łóżko, złamał nogę, ale niestety, nie swoją, tylko mego nieszczęsnego przyrzędu do spania. Wówczas nie zwróciłem na to wielkiej uwagi, lecz zacząłem przysłuchiwać się płynącym z ust jego słowom. I oto co on mówił:

W rogu skąpo oświetlonego pokoju siedziało dwóch chłopców, zatopionych w czytaniu książki. Przy bladym świetle łójówki nie będzie trudno w nich poznać osławionych Czerebjakowa i Juszczyńskiego. Postuchajmy co mówią. Wyższy nieco Czerebjakow krzychał: „Jacy odważni byli ci chłopcy i ja chciałbym tam być, gdzie oni byli, walczyć z tygrysami, spać pod gołym niebem „O! o! rzekł Juszczyński i ja chciałbym tam pojechać, ale mama nie pozwoli mi na to, bo mógłbym się zaziębić i zbłądzić.—„E, tchórz z ciebie, wstydz się; przecież wiemy z geografji, gdzie jest ta Brazylja. Mamy fuzję, dostaniemy prochu i jak ci chłopcy — jazda do Brazylji“ — „Zgodziłbym się, ale obawiam się, by się mama nie dowiedziała; przecież puści się w pogoń za nami, a gdy mnie złapie to ukara mnie“.— „I ciągle się boisz. Zresztą wiesz co? Mam dobrą myśl, na Kreszczatice w wystawie kupca Osłowa widziałem lalkę woskową, do której jesteś bardzo podobny. Dziś w nocy dostać się możemy tam i skraść ją. Ukryjemy ją następnie w pieczarze i wszyscy pomyślą, że zabili cię, a my tymczasem będziemy hen daleko“. „Dobrze mówisz, Zeniu; teraz w domu mamy niema, więc łatwo będzie zabrać wytrychy“. Tak mówiąc Juszczyński wyszedł z Zenią.

Wielki ruch panował tego wieczoru na Kreszczatce. Przy jednej z wystaw szczególnie gromadziły się tłumy, które z zaciekawieniem przypatrywały się wielkiej lalce, kręcącej się w oknie wystawowym. Wreszcie zaczęto gasić światła i zamykać magazyny. Cisza zapanowała na szumnej poprzednio ulicy. Wtym wśród bladego światła zamajaczały sylwetki dwóch malców. Zabrzęczały wydobyte z kieszeni wytrychy i po krótkim czasie sklep już stał otworem dla małych, a pomimo to śmiałych podróżników. Ukrywając się jeden za drugim zaczęli się przedzierać przez las ogromnych pak. Coraz bliżej i bliżej znajdowali się tej upragnionej lalki, gdy wtym dał się słyszeć dźwięk stłuczonego szkła i żałosny głos Zenia. Oto, co się stało: nierozważny chłopiec ujrawszy w lustrze odbicie Andriuszy, pomyślał, że to jest tak przez niego upragniona lalka. Chciał ją chwycić, ale pokaleczył się boleśnie. Nie zważając na otrzymane rany, odważny chłopiec dał się naprzód, dopóki w jego ręce nie wpadła lalka. Zabrał się już z Andriuszą do wyjścia, gdy wtym do uszu ich dobiegł jakiś szmer z za kąta. Nadwyczajny przestrah ogarnął małych Robinzonów i zapomniawszy o walce z tygrysami i Indjanami, już mieli zamiar, biorąc nogi za pas, zmykać. Lecz cóż to? Co zdołało wywołać taki przestrah w sercach odważnych malców? Oto myszy i szczury, prowadzące teraz korowód nocny, ukazały się ich oczom. Ochłonawszy nieco z przestrahu, wydobyli się niespostrzeżenie na chłodne powietrze ulicy.

Lecz nie wszędzie na Kreszczatce było cicho. Okna jednego z gmachów wyrzucały z wnętrza potoki światła na bruk, z wnętrza dawał się słyszeć wielki gwar i ochocza muzyka. Każdy człowiek łatwo się domyśli,

że to była knajpa. Nic dziwnego; przecież Bóg stworzył ją, by w niej ludzie siedzieli. To też siedzieli tam ludzie różnej płci, różnego wieku. W gęstym dymie cygar i papierosów trudno dostrzedz znajdujące się tam osoby. Ale spróbujmy, przyjrzyjmy się im uważnie. Oto tam w kącie siedzi dwóch mężczyzn, jeden z nich, ten z dużym czerwonym, jak burak noskiem, jest dobrze wam znaną osobistością. No, przypatrzcie się, czy naprawdę go nie poznajecie. Przecież to ten sławny dziś na świecie Gułabiew. A towarzysz jego, ten z głupią miną — to Brauzel. Nosy czerwone, rozplamione oblicza, wreszcie butelki próżne wskazywały, że przyjaciele nasi nie mieli sucho w gardle. A teraz dowiedzmy się co mówią. Pewnie coś ciekawego — „A! a!“, wrzeszczał w cielejącym zachwycie Gułabiew „dobra gorzałka, piłbym mój bracie kochany ile by sił starczyło, ale te Żydy proklatę wypijają nam tyle, że reszta, co dla nas zostaje, tak nas drogo kosztuje, gdyby ich jaknajprędzej“... „E, cóż mnie tam obchodzą Żydzi. Bez nich czy z nimi, wszystko mi jedno. Ale bieda z temi złodziejami, ot z kim bieda. No, naprzykład w Łukianówce tak się rozpanoszyli złodzieje, że coś strasznego. Co krok — to złodziej, z każdym dniem coraz ich więcej.— „No, no, to rzecz inna, ale jacy rozbójnicy są ci Żydzi. Przecież oni dzieci nasze na macę zarzynają. I cóż, my mamy na to pozwolić. Nie, nigdy — „Jednak co tam dużo gadać. — Żydzi są potrzebni, Gdyby nie u nich, to u kogóż pożyczalibyśmy pieniądze na wódkę. Już Gułabiew zabierał się coś na to odpowiedzieć, gdy do stolika podszedł miejscowy okółotoczny, znajomy Gułabiewa, „Posłuchajcie, Profesorze Iwanowiczu“, rzekł zwracając się do Gułabiewa. „Straszna zbrodnia stała

się nocy dzisiejszej. Ale nie wiecie, jak ja ją odkryłem. Stoję ja na swym poście, gdy wtym dochodzą mnie jakieś dźwięki z pieczary. Biegnę tam i cóż powiecie; znajduję trupa chłopca, leżącego na glinie“. Nie skończył przybysz swojej opowieści, gdy Gułabiew, wrzeszcząc — „O znów ci Żydzi, oni go zabili“, chwycił czapkę i wybiegł na ulicę, nie zapłaciwszy za wypitą wódkę.

Cisza zalegała ulicę Łukjanówki, księżyc oświecał dwie sylwetki, zdrażające ku pieczarze. Pomimo, że wiatru nie było, postaci zataczały się. Pewno miały one, jak to się mówi, więcej w głowie, niż niejeden z czytelników w butelce. Nareszcie postaci zbliżyły się do pieczary, gdzie oczom ich przedstawił się straszny widok; na ciemnym tle ponurej jaskini zarysowała się ze złożonemi rękoma postać sztywna; zaróżowione policzki; oczy przymknięte już dawały poznać naszym osobom, którzy jak się czytelnicy domyślają, byli Brauzel i Gułabiew, że mają doczynienia z... trupem. Ze wstrętem przystąpili do niego, t. j. do „trupa“. Pierwszy nachylił się nad nim Gułabiew. „Patrzaj, Brauzelu, przecież rzecz pewna, że to Żydzi go zabili, zobacz: na szyi 13 ran, a krwi nigdzie nie widać. Pewnie zużyli ją na macę. Ale któż to może być, aha, zaraz niech się przypatrzę, cóż to, czy mnie oczy nie mylą, przecież to Andriusza, więc i na niego Żydzi rękę podnieśli. — „Ależ nie Żydzi, to pewnie matka go zabiła“. Na dźwięk tych słów Gułabiew aż się zarzął ze złości. — „Co ty pleciesz, ty stary bałwanie, ta czcigodna pobożna kobiecina; z którą niejedną sorokówkę wypilem, mogłaby coś podobnego zrobić“ — „Nie mój przyjacielu, temi dowodami, mnie starego lisa nie przekonasz. Czy nie widzisz tej plachty,

która przyciska szyję nieszczęsnego chłopca. Tak starannie mogła go tylko matka obwiązać.— „Głupi jesteś Brauzelu; och! jak mi szkoda tej biednej kobiety, co teraz pocznie ta nieszczęśliwa matka. Patrz, ten czarny włos, który leży na twarzy tego trupa; przecież to tylko żydowski włos, czy jeszcze wąpisz?“ — „Co ty za głupstwa pleciesz, ten włos ma być żydowski, przecież to włos tej złodziejki, Cze-reb-jakowej“. Niewiadomo jaki obrót przybrałaby rozmowa, gdyby Brauzel rzucając się w objęcia Gułabiewa nie wykrztusił; „No dosyć. pójdziemy do naszego naczelnika, a on nam powie, kto ma rację.

Tymczasem u wspomnianego naczelnika w jego mieszkaniu toczyła się żywa rozmowa. Jakiś duchowny rozmawiał z gospodarzem. Z tej rozmowy można było w duchownym poznać Portajtysa. Na stole stały resztki kolacji, niedokończona butelka szampana, koniaku i innych środków do rozweselania szanownych biesiadników. Rozprawiali bardzo swobodnie. Wtym rozległ się silny brzęk dzwonka i po chwili siedzący ujrzeni po za plecami służącego, który wszedł z oznajmieniem o przybyciu dwóch panów, następującą scenę: Rozpychając się rękoma i silnie się zataczając, każdy z przybyłych starał się wejść pierwszy. Niewiadomo, na czym by się to skończyło, gdyby Gułabiew silnym pchnięciem nie przewrócił Brauzela. Ten padając z rozkrzyżowanymi rękoma, pociągnął za sobą stolik, na którym stał chińskiej roboty dzban który rozprysł się w kawały. Naczelnik groźnym wzrokiem zmierzył winowajców i przeklinając ich na czym świat stoi, piorunowym głosem rzekł: „Pocoście tu przyszli?“ „My, my, przyszliśmy w sprawie“... razem rozpoczęli Gułabiew i Brauzel— „W jakiej sprawie, gadajcie żywiej, bo rozkażę

was sej że czas za szyworot wyrzucić“. — „Panie naczelniku“, wyrwał się Gułabiew „znowu ci Żydzi“. „Nie, nie przerwał Brauzel“. W tej chwili spokojny dotychczas Portajtys porwał się jakby rażony prądem elektrycznym, podbiegł do Gułabiewa i rzekł: „Co się stało, panowie!? znowu ci Żydzi. Przecież sam widziałem, jak jeden Żyd w Irkucku zabił wieprza—pewno na macę. Ach! jak cierpiało biedne zwierzę. Naczelnik tymczasem smutnie zwiesił głowę, ale nie z powodu otrzymanej wiadomości, lecz na widok zbitej wazy. Z ust Gułabiewa wydobywały się silne okrzyki: „Podać tu szampana“.

Do późnej nocy w gabinecie naczelnika rozlegały się odgłosy szumnej biesiady. A naczelnik wciąż dumał o potłuczonej wazie.

W Kijowie mały dwaj
Na pomysł dobry wpadli
By w dziki uciec kraj
Gdzieś tam lalkę skradli.
Zadziwił się tym świat
Że bez krwi znalazł trupa
Powiedział bratu brat
Że w tym tajemnic kupa.
I wiele mądrych głów
Brauzel, Gułab, inni
Nie tracąc próżnych słów
Rzekli „żydzi winni“.

Alm Fuw.



F

22.164